

Nr 1.—Rok XXVI.

Dnia 25 Grudnia (7 Stycznia) 1904/5 r.



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

Biblioteka Jagiellońska

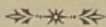


1002114104

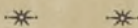


HEJNAŁ NOWOROCZNY.

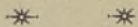
HEJNAŁ NOWOROCZNY.



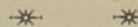
Hej! z maryackiej starej wieży
 Noworoczny hejnał brzmi;
 Ziemia w śnieżnej swej odzieży
 Snem zimowym cicho śpi,
 A na grody, wioski, niwy
 Płynie falą srebrny ton: —
 Niech to będzie rok szczęśliwy,
 Niech przyniesie szczerzy plon!



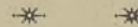
„I znów minął rok” — starsze mówi tak pokolenie, —
 „To na dół nowy krok, kędy dolin kresowych cienie.
 „O, jak szybko rwie czas, jakby potok z góry się strąca.
 „Jedyna ufność w was, młodzieży, za nami krocząca!”



„Już nadszedł Nowy Rok” — mówią młodzi, a radość z nich tryska,
 „To nowy naprzód krok, na wyniosłe życia urwiska,
 „Stamtąd — gdy w kwiecie lat — świat ogarną nasze spojrzenia,
 „Cały obejmie świat łwią siłą młodego ramienia.”

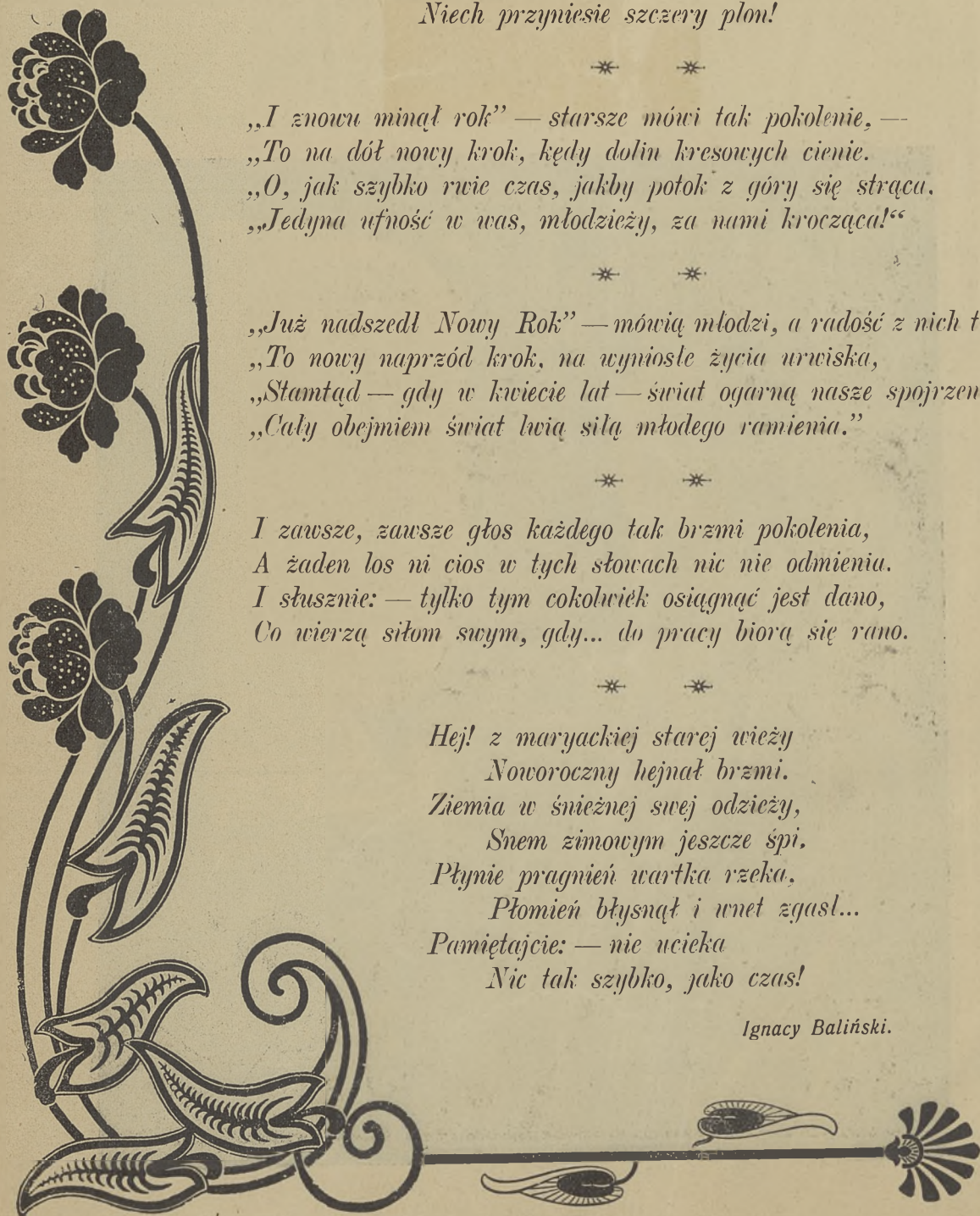


I zawsze, zawsze głos każdego tak brzmi pokolenia,
 A żaden los ni cios w tych słowach nic nie odmienia.
 I słusznie: — tylko tym cokolwiek osiągnąć jest dano,
 Co wierzą siłom swym, gdy... do pracy biorą się rano.



Hej! z maryackiej starej wieży
 Noworoczny hejnał brzmi.
 Ziemia w śnieżnej swej odzieży,
 Snem zimowym jeszcze śpi.
 Płynie pragnień wartka rzeka,
 Płomień błysnął i wnet zgasł...
 Pamiętajcie: — nie ucieka
 Nic tak szybko, jako czas!

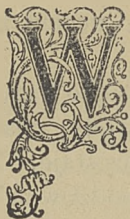
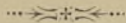
Ignacy Baliński.



E. Jankowski.



KREW ZIEMI.



W obecnej porze często zdarzają się mgły, a po nich zwykle nazajutrz bywa śnieg lub deszcz, w górach takie mgły bywają i w lecie, a zwykle przychodzą niespodziewanie. Podczas najpiękniejszej pogody, powieje nieznacznie chłodny wiatr z północy i nagle siedzący na wierzchołku góry widzi, jak z głębi otaczających go przepaści zaczynają się ukazywać białawe jakby dymy, napół przejrzyste, które płyną cicho a prędko, coraz wyżej i wyżej. Takich płamek powstaje zrazu zaledwie tylko kilka, potem mnóstwo, potem się z sobą skłębiają, mieszają i łączą, a po kilku lub kilkunastu minutach jesteśmy już zewsząd otoczeni niby chmurą, tak gęstą, że przez nią nie widać nic o pięć kroków. Biada nam, jeśliśmy w porę z wierzchołka nie zeszli! możemy stracić drogę i na dół do siedzib ludzkich nie trafić. Na szczęście niejednokrotnie mgła zamienia się w deszcz i znika równie prędko, jak się pojawiła. I znowu słońce gra tęczami w potokach, igra po skałach, ślizga się po świerkach i bukach, przegląda w rosie, pędzi przed sobą tu i owdzie, nieuchwytne, białe, jakby z gazy lub puchu zrobione obłoczki.

Cóż to jest mgła?

Toż samo, co i każdy obłok: para wodna przyobleczona w postać widzialną. Była ona w powietrzu ciągle, jako jego część składowa, ale niewidzialna tak, jak są niewidzialne inne jego części: azot, tlen i dwutlenek węgla. Gdy chłodny wiatr powiał—para niejako stężała od niego, przy oziębieniu bowiem nie mogła się utrzymać w tej samej ilości, jako gaz i musiała się skroplić. Badania przekonały, że mgła właściwie nie składa się z kropelek, tylko z niewielkich pęcherzyków, a raczej wodnych, cieniutkich powłoczek, osiadających zawsze na jakimś twardym przedmiocie. Za ośrodek może tu służyć zarówno nieujęte okiem ziarneczko pyłu, jak jeszcze wielekroć od niego mniejsza drobinka sadzy. Bardzo często dopiero do tej cieniutkiej powłoczki wodnej przylegają potem coraz nowe, pogrubiając ją aż nareszcie powstanie prawdziwa kropka. Gdy ta nie może się utrzymać w powietrzu dla swej wagi, spada na ziemię jako deszcz. Jeżeli powietrze jest bardzo zimne, wtedy woda, jak mówimy, kryształizuje i tworzą się te cudne igiełki i z nich

gwiazdki śniegowe, które wszyscy tyle razy podziwialiśmy, w zimie, gdy podczas mrozu śnieg pada.

Jeżeli to co powiedziano, zgadza się z prawdą—niepowinno być mgły, ani deszczu tam, gdzie powietrze jest od kurzu i sadzy wolne. W samej rzeczy na wierzchołkach bardzo wysokich gór, jak: Himmalaje, Kueń-Łuń, Karakorum itp., deszcz ani śniegi nie padają nigdy; szczyty ich wiecznie są obnażone.

I wprost przeciwnie: każda wielka bitwa kończy się deszczem, bo dym z prochu, unoszący się w powietrzu, ułatwia osadzanie się pęcherzyków pary. W miastach, gdzie się wytwarza dużo dymu z licznych ognisk, deszcze są znacznie obfitsze i częstsze, niż na wsi, choćby w pobliżu miast.

W przypadku opisanym, poznaliśmy wodę trojaką, czyli w trzech stanach skupienia: gazową, niewidzialną, w powietrzu zawartą; ciekłą—zamienioną w krople deszczu i stałą—w postaci gwiazdek śniegowych. Woda zamarzająca tworzy też wprost lód, a i śnieg mocno ścisany lub sam na siebie wielką warstwą działający, w lód się zamienia, jak to ma miejsce w wysokich górach, gdzie ze śniegu tworzą się lodowce.

Ani krople deszczowe, ani jakby ze srebra wyrzynane płatki śniegowe, długo w powietrzu wisieć nie mogą. Jako mające już pewną wagę, ulegają ogólnemu przyciąganiu i muszą spaść na ziemię. Gdy chmura jest gruba, spadające z niej krople po drodze zabierają inne, które spotkają, zlewają się z niemi w całość; wtedy są ciężkie i grube, jak łyż, które z oczu wyciska sroga boleść; gdy opadają z chmurki cienkiej—są drobne, jak te perełki, które wytryskują z pod powiek pod wpływem nagłej radości lub wielkiego szczęścia.

Co też się dzieje z temi łyżami nieba, spadającymi na biedną, pełną boleści i niedoli ziemię?

Pewna ich część po skałach i suchych piaskach, po twardej glinie i darninie ześlizguje się tak, jak krople wody po tłuszczu i dąży do miejsc najniższych, a część spływa wprost do strug, strumieni i rzek. Niemala jednak część wsiąka w ziemię i pozornie ginie.

Idźmy za nią i starajmy się dociec, co się z nią stało. Możemy sobie zdać sprawę z tego nietylko samem myśleniem, ale i doświadczeniem, co jest daleko ścisłejsze i ważniejsze. Możemy np. nalać pewną ilość wody na ziemię, pod którą na pewnej głębokości zakopane są rurki gliniane czyli sączki, szeregami. Ta woda, która przez określoną ilość ziemi przecieknie do sączków, a niemi będzie wypływała przez otwór ostatni, zważona, wykaże nam ile

ubyło wody z tej ilości, którąśmy w ziemię suchą wyleli. Okaże się, że wody ubyło bardzo rozmaicie, raz mniej, drugi raz więcej, zależnie od gatunku ziemi i roślinności, która ją porasta — ale wogóle ubyło bardzo dużo.

Nie będziemy się wdawali w określanie sposobów, jakimi posługuje się nauka przy tych badaniach. Dosyć wiedzieć; że gdy deszcz na powierzchnię ziemi upadnie, pewna jego część spływa po niej odrazu, pozostała zaś przesiąka. Z tej znowu tylko część wypływa dolnemi warstwami.

Kto z was, mili czytelnicy, był w Tatrach, pewnie z podziwem przyglądał się, jak to Biały Dunajec rzuca się ze skał na Kala-tówkach, kilkudziesięcioma naraz drobnemi strugami, lub też jak Czarny Dunajec wypływa z pod Pisanej. W pierwszym razie złomy skalne ułożone luźno — przepuszczają wodę z deszczów i śniegów, w górze padających lub leżących powstałą. W drugim woda kroplami wnika pomiędzy szczeliny i pory wapniaka, zbiera się na dnie pieczar w nim wyźłobionych i u stóp miękkiej ściany skalnej wybucha z ciemnej, straszliwej gardzieli.

Co się dzieje dalej — wiecie.

Rozhukane jak młody rumak te strumienie połączą się w niespokojne i burzliwe górskie rzeczki; te popłyną do Sanu a z nim do Wisły, coraz szerzej, ale coraz wolniej, aż z matką rzek naszych pod Gdańskiem utoną w morzu Bałtykiem, część ogólnego zbiorowiska wód ziemskich stanowiącem.

Zupełnie tak samo i z człowiekiem. Dzieckiem rozbawiony, swawolny i ruchliwy; młodzieńcem pełen ognistej fantazyi i niezłomnej energii; dojrzałym mężem, silny wolą i działalnością, a poglądami o wiele szerszy; starcem uciszony i umiarkowany, lecz doświadczeniem w umyśle rozszerzony i pogłębiony, nakoniec wpada w morze śmierci, a przez nią w ocean wieczności, z której wyłoni się do nowego, lepszego życia.

Tak i woda. Z oceanu — kropelki jej wypije i podźwignie żar słońca. Ono je przerobi na pył wodny, niedojrzany okiem; ono go rozpuści w powietrzu. A teraz przyjdą bujne wiatry i tę bezcielesną parę uniosą na swych niewidzialnych, a potężnych skrzydłach, o mil tysięcy, może na drugą globu półkulę. Tam ona stężeje pod mroźnym oddechem biegunowego wichru i ciężka, znów spadnie na ziemię, bo pod niebem może latać tylko to, co lekkie i czyste, choćby z cuchnącej pochodziło kałuży. Brud pozostanie na ziemi, w obłoki zaś wzniesie się jedynie woda, jako kryształ czysta i od przymieszek wszelkich wolna.

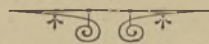
Więc jest to niejako wieczny obieg jednej i tej samej wody, która to przelewa się w oceanie, to unosi w górne, powietrzne szlaki, to spada znów na ziemię, by przez nią prześcisnąć się w szczeliny i mroczne pieczary, aby z nich wypłynąć w postaci źródełek i znów jako rzeki do oceanu podążyć.

Nie inaczej, i właśnie dlatego uczeni zwać niekiedy wodę *krwią ziemi*.

Nie dla zabawki jednak dzieje się to wszystko. Pominęliśmy tę wielką ilość wody, opadającej z obłoków, która w ziemi pozostaje. Bawi ona tam krócej lub dłużej, wchodzi w skład jestestw ożywionych (zwierzęta i rośliny), łączy się z ciałami nieożywionymi, i z nich po upływie lat, niekiedy wieków całych, znów będzie zwolniona. Pewna wreszcie, i to niemała jej ilość, pochłonięta przez ciała mineralne i z nimi związana, pozostanie w ziemskiej powłoce uwieczniona na lat tysięcy tysiące. Być może, iż wolność odzyska dopiero wtedy, gdy kula, na której żyjemy, ulegnie starciu na proch, z którego powstała, by po wiekach nieobliczonych nowe utworzyć światy.

Dużoby o tem jeszcze było do mówienia, ale widzę, że się główki wasze już i tak za-nadto znużyły — więc przerywam.

W czasie wolnym od zajęć, gdy będziecie sami, rozważcie dobrze to, com tu pokrótce opowiedział, a zrozumiecie, jak nieskończenie mądrym jest Ten, kto wodzie tę ziemną drogę naznaczył i będziecie Go wspólnie ze mną wielbiły.



Z. Morawska.



Przygody Imię Pana Mikołaja.*)

Powieść z XVI w.

I.

„Kołajok!...”

Dzień był mroźny a wyiskrzony.

Słońko, jak zwykle w styczniu, jasnym oczkiem poczęło już poglądać na ziemię.

Nie długo się ono wprowadzie tem poglądaniem zabawiało, ale onego dnia było takie

*) W roku bieżącym przypada 500-a rocznica urodzin Mikołaja Reja, który położył dla języka i piśmiennictwa naszego wielkie zasługi, bo był pierwszym wybitniejszym autorem, który pisał tylko po polsku i wpływał na to, aby język ojczysty wyparł łacinę z literatury.

Już we współczesnym wierszu, do niego zwróconym powiedziano:

„Rej bowiem, jako mówią, ty sam w Polsce wodzisz, W naszym polskim języku ty sam przodkiem chodzisz“.

wesołe i takie złociste, że chociaż mróz chwycił za nos a *polabachy*¹⁾ drobnymi igielkami się skrzyły, każdemu jakoś wesoło na sercu się robiło.

Ražno też waliły cepy na boisku wielkiej stodoły w Żórawnie, — tak ražno, że nie tylko rozlegało się po całym podwórzu, ale odgłos ich leciał het! aż na zamarznęty Dniestr, a i do komnat dworskich się wdzierał.

Ze dwora też wyskoczył dziesięcioletni Mikołajek, ukochany jedynaczek imię pana Stanisława Reja i Barbary Herburtówny drugiej już jego małżonki.

Znać było zaraz, że ten Mikołajek nie tylko był jedynakiem i oczkiem w głowie pani matki i pana ojca, ale że rodzice jego dostatnio się mieli.

Chłopak bowiem odziany był w półkożuszek aż do kolan, w szarawary skórzane, na nogach miał ciżmy dobrze podszyte, na głowie czapkę barankową z uszami, a w rękę trzymał duży kawał piernika, który mu matka na podobiać wetknęła. Wybiegłszy na podsienie ugryzł kawałek piernika i choć zapakowane miał usta począł, przestępując z nogi na nogę, odgłos cepów przedrzeżniać:

— Cep, cep! — cep, cep! — cep!

Chciał biedz dalej, ale spostrzegłszy wielki sople, zwieszający się od słomianego okapu, podskoczył by go oderwać.

Nie udało mu się wszakże.

Podskoczył drugi raz, — gdzie tam!

Sople był zbyt wysoko, drwił więc z niezgrabnych usiłowań chłopca, błyszcząc w słońcu i przeświecając barwami tęczy.

Wtem drzwi od izby do sieni skrzypnęły i ozwało się wołanie:

— Mikołajek! Mikołajek!

A Mikołajek usłyszawszy głos matki, drapnął, co miał siły, jeno śnieg mu skrzypiał pod nogami.

A pani matka, zobaczywszy, że go niema w sieni na podsieniu biadała:

— Na taki mróz, — na taki mróz!..

— Et, co mu tam będzie! — przerwał ojciec, wciągając na siebie kożuch.

— Łatwo to jegomości mówić, a jak się, broń Boże, zaziębi...

— Zaraz zaziębi! przecie to nie dziewczucha, żeby go w izbie a przy kominie trzymać albo i w pierzynę owinać — mówił małżonek, gotując się do wyjścia.

— Wiem-ci, że nie dziewczucha, aleć jepyne dziecko.

— Ba, ba, jedynaczek, mamin synek, — przekomarzał się z żoną imię pan Stanisław.

— Niby to jegomość tak samo go nie pieści i nie hołubi—odcięła się pani Barbara. Wi-

dząc zaś, że małżonek naciąga grube futrzane rękawice, rzekła.

— Weźno jegomości i dla Mikołajka.

I w boczną kieszeń mężowskiego półkożuszka wkładała parę, przez siebie samą dzianą, z szarej wełny z jednym palcem rękawiczek.

— W imię Ojca i Syna! słyszone to rzeczy! Toć to jejmość w rękawiczki chłopaka chce ustroić!—zdziwił się małżonek.

— Mój jegomościuniu, nie dziwuj się, idź, a rozkaż, żeby zaraz włożył... Zdobyjesz go niechybnie przy stadninie — rzuciła za wychodzącym małżonkiem.

— To ci urwis z tego Mikołajka! — mruknął ojciec i wyszedł z podsienia. — Mróz, aż skwierczki w oczach! miała jejmość racya, może się zaziębić!

— Dam ja mu! dodał przyspieszając kroku i rozglądając się po wielkiem podwórzu.

Ale Mikołajka nigdzie ani oko.

Ruch za to był koło stajen i w całym gospodarzem obejściu.

Ten niósł wiadrami wodę, inny ją czerpał przy studni, a żóraw skrzypiał, miesząc swój głos piskliwy z odgłosem dolatujących od stodoły uderzeń cepów.

Pan Rej, jako dobry gospodarz, był już wszędzie jak codzien i całe obejście widział, a chociaż nie znalazł nic, co by osobliwszej jego bacności potrzebowało, pilnie jednak na wszystko i teraz poglądał i w każdy kąt zazięrał.

Przy stajniach dłużej się zatrzymał, raz, że stadnina zaczęła przynosić mu dochód i mógł się nią bodaj przed hetmanem czy królem jegomością pochwalić i powtórę, że była dlań ulubionem dzieckiem, a pod względem miłowania po Mikołajku najpierwszem.

Teraz też spoglądając na konie, Mikołajka upatrywał.

Przeszedł wzdłuż i wszerz stajnię, był i w okólniku, gdzie wypuszczone dla przewietrzenia się żrebce rozkosznie brykały.

Uśmiechnął się z zadowoleniem na widok połyskujących się, dobrze wyczyszczonych i osadzonych żrebiąt, spojrzął na koniarków odgarniających śnieg z okólnika, ale Mikołajka nie dojrzał.

— Mikołajka nie było? — zapytał najbliższej stojącej koniarki.

Chłopak podniósł głowę i jakby chciał rozważyć zapytanie lub po prostu skorzystać i przez chwilę popróżnować, zapytał:

— Mikołajka, niby jegomościwego, ze dwora?

— A juści, durniu, nie o innego pytam! — ofuknął.

Chłopak znów spojrzął i powoli przeciągłym swym głosem, odrzekł:

— Nie!

A plunawszy w garść, ujął znów łopate i z wielką gorliwością począł dalej śnieg odrzucać.

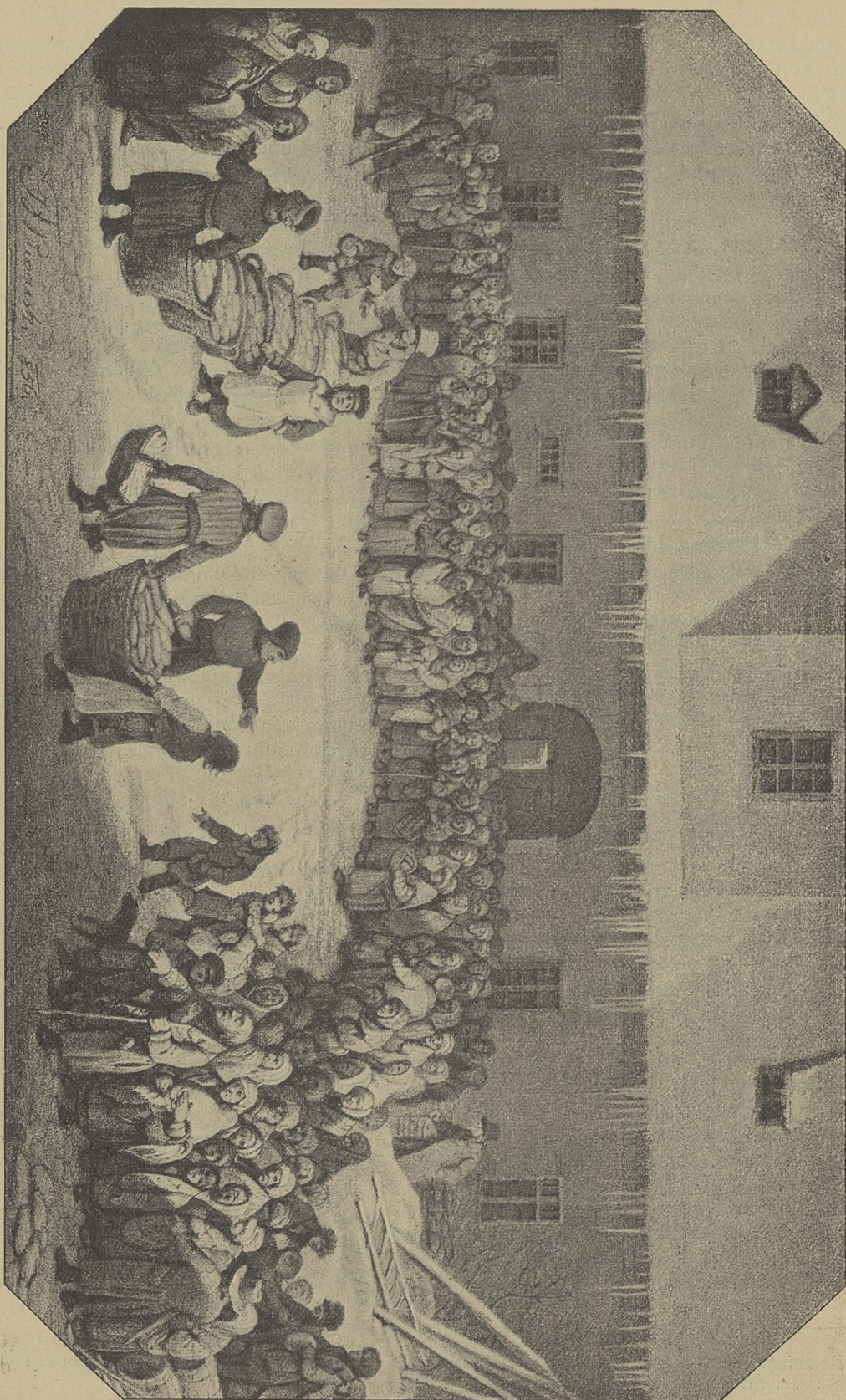
(d. c. n.)

Rocznice obecną ma uczcić Akademia Umiejętności wydaniem zbiorowego dzieła o XVI wieku i uroczystym zjazdem.

Dla upamiętnienia jej w umysłach naszych czytelników, podajemy życiorys Reja, skreślony na tle życia ówczesnego, w formie barwnego i zajmującego opowiadania przez zasłużoną autorkę wielu powieści historycznych.

(Red.)

1) *polabachami* lud zwie drobne igielki mrozu przelatujące w powietrzu.



Kolenda ubogich.

Rysunek ten przedstawia rozdawanie żywności ubogim miasta Warszawy sumptem eks. ks. Misyonarzy w pierwszy dzień Bożego Narodzenia 1820 r.

rys. J. Piwarskiego.

Jan Piwarski (ur. 1794 zm. 1839 r.), był jednym z pierwszych naszych rysowników i nauczycieli malarstwa. Celował w odwarzaniu scen i typów ludowych. Rozpowszechnił i wydoskonalił w Warszawie litografię i cynkografię.



NOWY ROK.

Nowy Rok, dziecińy, Nowy Rok
 U waszych stanął drzwi.
 Niechaj kwiaty zsyła wam co krok!
 Niech da szczęśliwe dni!
 Niech odznacza się od szeregu lat
 Czystością waszych dusz,
 Niech was w życie wprowadził i świat
 Jak pąki białych róż!
 Niech wam wszystko piękne poznać da
 Ku dobru wiedzie was,
 Niech jak wiosna cudna trwa
 Przez cały dni swych czas!

Zofia Zacharkiewiczówna.

Ah-ni-ghi-to.

Dzieweczka z krainy śniegów.

Przekład z ang. M. G.

Podajemy tu czytelnikom «Wieczorów» nie jakąś historyjkę wymyśloną, ale prawdziwy opis podróży małej 7-letniej dziewczeczki, częścią przez nią samą, częścią przez jej matkę skreślony.

Ah-ni-ghi-to jest córeczką słynnego podróżnika amerykańskiego, p. Peary, który kilka razy badał wnętrze wielkiego lądu północnego, zwanego Grenlandyą, a obecnie wybiera się do samego bieguna.

Pani Peary dwa razy jeździła z córeczką do Grenlandyi, aby być bliżej męża. Eskimosi, stali mieszkańcy tego zimnego lądu — nazywali dziewczynkę — Ah-ni-ghi-to, co znaczy «Śnieżna dziewczeczka».

I.

Gdyby kto był powiedział *Ah-ni-ghi-to*, że ma znowu jechać do Kraju Śniegów, z którego powróciła tylko co do domu swojej babuni w Ameryce, nie byłaby chciała o tem słuchać. Miała tyle do opowiadania — tyle do roboty — tyle do obejrzenia i do nauczania się — że nie znalazłaby już czasu do drugiej wyprawy na daleką Północ.



Ah-ni-ghi-to w piątym roku życia.

A jednak — następnego lata, kiedy ojciec *Ah-ni-ghi-to* odpływał na wielkim czarnym statku, do tych krajów gdzie mieszkali jej dziwni, w futra odziani przyjaciele, żał ścisnął jej gardziołko, i coś bardzo podobnego do łez nappełniło oczy na wiadomość, że ona z matką mają tym razem pozostać w domu.

Ale *Ah-ni-ghi-to* miała już blisko pięć lat i ojciec powiedział, że musi koniecznie chodzić do szkoły, i nauczyć się dużo do jego powrotu, a jeżeli będzie grzeczna i posłuszna, to ojciec poprosi świętego Mikołaja, ażeby jej zamiast zabawek przyniósł — siostrzyczkę.

Ah-ni-ghi-to była uszczęśliwiona. Pragnęła bardzo mieć siostrzyczkę do zabawy, więc przyrzekła wszystko czego od niej żądano, i ojciec odpłynął.

Całe lato *Ah-ni-ghi-to* przepędziła na wsi, gdzie wszystko było dla niej nowością. Miała króliki do zabawy — kurczęta, którym dawała jeść — krowy, które wychodziły rano na pastwisko i wracały wieczorem; przypatrywała się jak robili masło, zbierała kwiaty i robiła z nich wiązanki, tyle, tyle rzeczy, o których nigdy dotąd nie słyszała! Dzień był za krótki na tyle rozkoszy.

Lato wkrótce się skończyło i *Ah-ni-ghi-to* powróciła do domu babuni i do freblowskiej szkółki, którą bardzo lubiła.

Nadeszło Boże Narodzenie, dziewczynka dostała dużo ładnych zabawek, a wkrótce po świętach — raz powróciwszy do domu, zastała małą siostrzyczkę. Myślała w pierwszej chwili, że ojciec ją przywiózł, doznała wielkiego zawodu, dowiadując się, że siostrzyczka została przez niego przysłana — ale że przywiozła z sobą list od „kochanego tatusia“, w którym zalecał *Ah-ni-ghi-to*, żeby była bardzo grzeczna i dawała siostrzyczce dobry przykład, zaczęła więc od razu opiekować się nią jako starsza siostra.

Przez całą zimę i wiosnę i kawałek lata *Ah-ni-ghi-to* była bardzo szczęśliwa. Siostrzyczka z każdym dniem nabierała rozumu i zaczęła się bawić, dziewczynki igrały wesoło — czasem na łóżku, czasem na posadzce, a bardzo często na białym, ciepłym piasku nad morzem. Ale jednego rana siostrzyczka była jakaś niezdrowa, i nie chciała się bawić z *Ah-ni-ghi-to*. Leżała cichutko i tylko uśmiechała się słabo, nie mając siły do zabawy. Nazajutrz wieczorem

rem — usnęła: i nawet pocałunki *Ah-ni ghi-to* nie mogły jej z tego snu obudzić.

Biedna *Ah-ni-ghi-to*! Było to jej pierwsze zmartwienie, i takie ciężkie. I dużo czasu upłynęło zanim zrozumiała, że siostrzyczka teraz szczęśliwa jako aniołek w niebie, gdzie nie złego jej się nie stanie i gdzie kiedyś połączy się z nią *Ah-ni-ghi-to*, i będą już zawsze razem.

Zdawało się że szczęśliwe chwile *Ah-ni-ghi-to* skończyły się, bo nieza długo potem zmartwieniu powrócił wielki, czarny statek, który na początku lata wyruszył do Kraju Śniegów — do ojca *Ah-ni-ghi-to*, i przywiózł wiadomość, że ojca zaskoczył okrutny władca kraju — Mróz, — że w głębi dalekiego lądu, w srogą i ciemną zimę, i że biedny ojczulek zachorował. Pomimo, że upominał w listach, iż jest zupełnie zdrow teraz, jednakże mateczka i *Ah-ni-ghi-to* nie dowierzały temu, i dziewczynka zawołała:

— Mateczko! Czy nie możnaby pojechać do tatusia? On pewnie nas potrzebuje kiedy chory!

Mateczka postanowiła, że gdy ten statek popłynie na Północ w czerwcu przyszłego ro-

ku, pojedą na nim obie. *Ah-ni-ghi-to* nie mogła pojąć dlaczego czekać tak długo. Czemu nie zaraz? Zapomniała, że na dalekiej Północy zaczęła się już długa, zimowa noc, i całe morze zamarzło. Przez cztery miesiące ojciec nie będzie widział słońca — tylko słabe światło gwiazd, a raz na miesiąc księżyca. Dopiero kiedy nadejdzie lato z jasnym, gorącym słońcem, stopi lody i okręt będzie mógł przerwać sobie drogę — można będzie popłynąć do ojca.

Ah-ni-ghi-to miała już teraz siedem lat, i chodziła do *prawdziwej* szkoły, a wszystkie wolne chwile poświęcała na przygotowania do podróży do Kraju Śniegów.

Porobiła papierowe lalki (a każda z nich miała dwanaście sukien) na upominki dla duńskich dzieci, które były tak dobre dla niej wtedy, gdy statek ojca zatrzymywał się w pobliżu ich wioski. Każdy grosz oszczędzała na podarki dla swoich licznych przyjaciół w tamtych stronach. Tak minęła zima i wiosna i wreszcie nadszedł dzień 7 lipca: *Ah-ni-ghi-to* pożegnała się z babunią i ciocią, obiecując napewno, że wróci na przyszłą jesień, a może i tatusia przywiezie. (d. c. n.)



Co zbudujemy?

Czterech przyjaciół siadło przy stole:

Jaś z Kaziem, Staś przy Franiu,
Wszyscy pracują w wielkim mozole
Przy domków budowaniu.

Domeczki z klocków stawiają sobie,
Każdy nad swoim się trudzi.

Jaś mówi: oto przytułek zrobię
Dla wszystkich biednych ludzi,

Kto nie ma pracy — starzy czy młodzi —
Kąt znajdzie w moim domu,
Niech każdy biedak śmiało przychodzi,
Nie wzbronię tu nikomu.

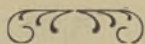
— A ja zbuduję — Kazio odrzeczę:
Dla chorych szpital duży,
Niech wszyscy czułą mają w nim pieczę,
Niechaj cierpiącym służy.

Staś znów powiada, podnosząc czoło:
Skromna jest moja chata,
Lecz ten budynek ja zrobię szkołą
Niech płynie z niej oświata!

Franio przerywa swe budowanie,
 A ściany wzniosł wspaniałe:
 — Z moich cegiełek kościołek stanie,
 Na Pana Boga chwałę.

Modlić się będzie tam lud w pokorze,
 Uskarżać się na troski,
 By miłosierdzie spływało Boże
 Na miasta i na wioski...

Adam Lach.



„Jak mamę kocham!”

Andzia i Zosia, dwie siostrzyczki, ślizgały się na wyścigi, a Władzio, najstarszy z rodzeństwa, oraz najwprawniejszy łyżwiarz, miał być sędzią, która z nich lepiej i prędzej się ślizga. Metą wyścigów była drewniana ławeczka, na której siadali, przypinając łyżwy. Przy tej ławeczce stanął Władzio i zawołał, klaszcząc w ręce: Raz, dwa, trzy! a nato hasło obie dziewczynki z przeciwległego końca stawu puściły się ku niemu.

Nie łatwo to jednak zadanie być sędzią takiego wyścigu — obie siostrzyczki ślizgają się równomiernie, i jeśli jedna na pół kroku wysunie się naprzód, wnet ją drga znowu o pół kroku przegania. Nareszcie, w ostatniej chwili, Andzia łyżwą zaczepia o łyżwę i zamiast dotrzeć do ławeczki, upada jak długa na lód, a Zosia jednym posunięciem dobiega do mety, wołając z dumą: Ja pierwsza! ja pierwsza!

Władzio przestraszony, czy się Andzia nie bardzo potłukła, rzucił się, aby ją podnieść, ale ona już i sama stanęła na łyżwach, na twarzyczce jej nie widać bólu, tylko jawne zagniewanie.

— Nieprawda! — woła do Zosi — ja pierwsza byłbym dobiegła, ty przecież byłaś za mną, tylko że mi się łyżwa skrzyła i upadłam.

— Właśnie też nietrzeba było padać. Ja wygrałam zakład!

— Niech Władzio rozsądzi; on wie dobrze, że ja się zawsze prędzej ślizgam, nieprawdaż Władziu?

Zapytany o zdanie Władzio, przybrał poważną minę i zawyrokował:

— Jako sędzia, obowiązany do mówienia prawdy, muszę wyznać, że w dopiero co odbytym wyścigu Zofia Górzyńska odniosła zwycięstwo i pierwsza dotarła do mety, Anna Górzyńska zaś dała zato dowód, że umie nadzwyczaj zgrabnie i bez żadnego szwanku padać na lód.

— Brawo! brawo! — woła Zosia, klaszcząc w ręce — doskonale rozsądziłeś naszą sprawę.

Ale Andzia nie na żarty obrażona takim wyrokiem, twarzyczka jej czerwieni się, do oczu napływają łzy oburzenia, bo mała łyżwiarka ma tą wielką wadę, że jest bardzo niecierpliwa i gniewa się o byle co.

— Nie potrzebuję takich sądów! — odrzuca ostrym tonem — kiedy jesteś taki niesprawiedliwy, to najlepiej nie mięszaj się wcale do nas, jutro pójdziemy na ślizgawkę same, bez ciebie.

— O! nic z tego, bo mama nie pozwala wam samym iść na lód i ja się zawsze będę razem z wami ślizgała.

— Jutro nie będziesz?

— Będę!

— Jak mamę kocham, nie będziesz!

Wracają wszystko troje do domu w nie-szczególnych humorach, Teraz znów Władzio jest obrażony, że Andzia pozwala sobie zapowiadać mu, co on będzie lub nie będzie jutro robił; on uczeń drugiej klasy! Andzia nie odzywa się wcale, a Zosia daremnie usiłuje ich pogodzić i rozweselić, i żałuje teraz, że mimowolnie dała powód do całej sprzeczki.

Podwieczorek, przy którym wystąpiła po raz ostatni już w tegorocznym poświętecznym czasie, strucla z makiem, rozpogadza humory.

Nazajutrz przy śniadaniu Władzio rachuje, ile dni będzie jeszcze w domu — dwa, już tylko dwa! a potem przez całe trzy miesiące ani zajrzy do mamuni i siostrzyczek, ani razu ich nie zobaczy! Wprawdzie do Warszawy niedaleko: dwie godziny jazdy koleją, ale tatko nie pozwala odrywać się od nauki, a mama znów i siostry nigdy zimą nie wyjeżdżają do miasta; zobaczą się zatem wszyscy na Wielkanoc.

Zosia i Andzia posmutniały na myśl o wyjeździe braciszka, tak z nim miło i wesoło w domu.

Po śniadaniu Zosia poszła lalkę ubrać w ciepłą sukienkę i płaszczyk z kapuzą, aby była gotowa do spaceru, Andzia stanęła przy oknie, patrzy na biały ośnieżony trawnik, myśli i wdycha.

— Andziu, odzywa się mama, nie stój przy oknie, bo tam wieje.

Andzia usuwa się, staje około biurka i znowu myśli i wdycha; nareszcie przysuwa się do mamy i mówi cichutko.

— Moja mamusiu, ja chciałabym się o coś spytać, bo mam wielkie zmartwienie, tylko sama nie wiem, jak to mamusi powiedzieć.

— Powiedz szczerze, tak jak myślisz, to będzie najlepiej, może ja znajdę jaką radę na twoje zmartwienie.

— Otóż mamusiu, to jest taka rzecz: Ja wczoraj prsyrzekłam Władziowi, że mu na dziś schowam łyżwy, żeby się nie mógł z nami ślizgać...

— Jakto „przysiękaś“ — czyż on cię o to prosił?...

— Nie, mamusiu, przeciwnie, ja mu tak powiedziałam na złość, bo byłam bardzo na niego rozgniewana, a teraz mi żal zrobić mu przykrość, bo on biedny już tak prędko pojedzie, a przecież muszę dotrzymać kiedy przysiękałam!

— Jakże jesteś nierozsądną Andziu, żeby nawet mówić takie rzeczy — to nie było żadne przysiężenie, tylko pogrożka wypowiedziana w gniewie, której się moja córeczko dziś wstydić powinna, a nie poczuwać do obowiązku wykonania jej. Tylko dobrych i słuszych przysiężek powinniśmy dotrzymywać, a innych wcale nie robić. Jeżeli się nam w gniewie wypowie jakie niebaczne słówko, trzeba się właśnie starać czynem zaprzeczyć mu co prędszej, gdy sami uznamy już, że w uniesieniu powiedzieliśmy coś złego i niemądrego.

— Kiedy ja mamusiu bardzo uroczyście to obiecałam; ja powiedziałam: „jak mamę kocham“!

— A czy myślisz, że będzie to naprawdę dowodem miłości dla mamy, gdy dotrzymując tego przysiężenia zrobisz przykrość braciszko- wi? — zapytała mama, spoglądając poważnie w oczy Andzi.

Dziewczynka zaczerwieniła się bardzo i spuściła głowę.

— Nie, mamusiu, ja wiem, że to będzie przeciwnie, bo mamusia się zawsze gniewa o takie rzeczy.

— Widzisz więc, jakie nierozsądne myśli przychodzą ci do główki. Zamiast chować mu łyżwy, idź lepiej uściskaj braciszka i pogódź się z nim serdecznie, to będzie naprawdę dowód, że kochasz mamusię.

A na przyszłość nie używaj już nigdy dla drobnostek, a tem bardziej w sprzeczce, imienia mamy, ale ile razy będziesz miała ochotę powiedzieć „jak mamę kocham“! pomyśl sobie: Kiedy ja kocham, to właśnie zrobię tak, jak mama lubi; przerwę sprzeczkę i nie odezwę się już ani słówkiem; to będzie lepszy dowód przywiązania dla mnie, niż wszystkie zakłęcia.

— Dobrze mamusiu, postaram się zawsze tak zrobić, — odparła Andzia i pobiegła uściskać na zgodę braciszka: potem poszli we troje na staw i ślizgali się całą godzinę wesoło i zgodnie.

Irena Mrozowicka.

ŻARCIKI.

Przy choince. — Cobyś zrobił, Janku, żebyś był tym cukierkiem, wiszącym na drzewku?

— Ach, tatusiu! zjadłbym zaraz sam siebie.

Postęp. Jędrus odwiedza dziadunia i o-
znajmia mu: — Dziaduniu, ja już nie siedzę
w ostatniej ławce!

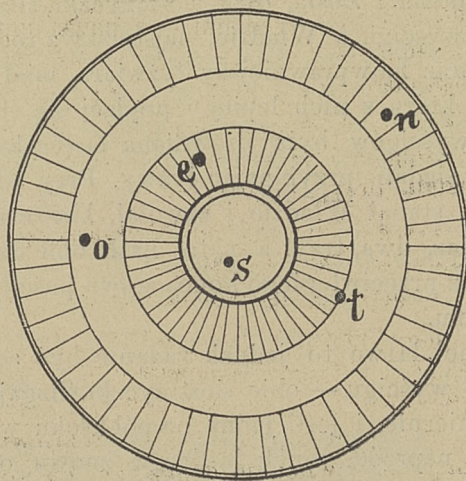
— A, bardzo się cieszę, to znaczy, robisz
postępy i lepiej się uczysz.

— Nie, proszę dziadunia, bo ostatnią ław-
kę wzięli do przemalowania.

Zadania i łamigłówki.

Łamigłówka tarczowa.

uł. Karol Sz.



Pięciu kolegów: Edzio, Norbert, Olgierd, Stefan i Tadeusz zabawiali się strzelaniem z łuku do tarczy. Obecny przy tem stryj Edzia obiecał prezent temu, kto trafi w środek tarczy. Chłopcy strzelali kolejno i każdy punkt, w który trafił, oznaczał pierwszą literą swego imienia. Nagrodę za najcelniejszy strzał otrzymał Stefan. Co stanowiło tę nagrodę jeżeli nazwa owego przedmiotu składała się z liter napisanych na tarczy?

SZARADA.

uł. Aes.

Oto *wspak* pierwszy nadszedł pełen chwały.
Witaj nam, witaj — bądź pozdrowion *cały*!
Nie wiemy jaki losu *drugi trzeci*
Piosnką skowronka czy krukiem przyleci
Lecz każdy serce swe nadzieją krzepi,
Że może będzie przy tym *całym* lepiej.

Łamigłówka kropkowana.

uł. Halka Dadzibożka dla Halki z nad Teterowa.

Ni. t. j.st w.lk., c. b.w. d.mn.

.n. t. w.lk., c. l.dz.m sz.mn.,

J. n. t. w.lk., w c. l.dz.m w.rz.ć

Prz.d cz.m w p.k.rz. cz.ł.m d.rz.ć

Zamiast kropek należy wstawić odpowiednie sa-
mogłoski.

Wawrzyniec Zeal.

—*~*~*

TALIZMAN WŁADZY.

Przekład M. G.

ROZDZIAŁ I.

Obóz wśród lasu.

W jednym z podrzędnych hotelów w Nowej Zelandji dowiedziałem się po raz pierwszy o istnieniu *Talizmanu władzy*, a wiadomość tę opłaciłem mnóstwem przygód w odległych krainach — ciężkimi doświadczeniami — a nawet niebezpieczeństwem utraty życia, zanim jeszcze dowiedziałem się, za czem gońię.

Ale „Talizman władzy“ wart był poszukiwań. Całe życie, poświęcone na upędzaniu się za nim, byłoby hojnie wynagrodzone, gdyby tylko przed zgonem poszukiwacz zdołał dostać w swoje ręce ten mały kawałek dziwnie rzeźbionego jaspisu, stanowiący dla wielu milionów ludzi skarb najcenniejszy na świecie.

A ja miałem w swych rękach ten cenny klejnot. Co z nim uczyniłem, dostawszy go nakońiec, dowiecie się z tej opowieści.

Długo by trzeba opowiadać — co może kiedyś uczynię — w jaki sposób poznałem się ze starym wodzem Maorisów, Tanawhą, i w jaki sposób zawarliśmy braterskie przymierze. Dość będzie, gdy powiem, że udało mi się oddać mu raz wielką przysługę; — przypadek zdarzył, że mogłem dopomóc staremu wodzowi do wykonania dawno powziętego zamiaru — a on wzamian poprzysiągł mi przyjaźń, której wagi nie doceniałem zrazu, śmiejąc się z niej trochę. Obiecał mi Maoris, że przed śmiercią odwziedczy mi się stokrotnie za moją dobroć: a choć wiadomo mi było, że posiadał obszerne grunta i nagromadzone skarby, nie mogłem sobie wyobrazić czem tak bardzo cennem mógłby mnie obdarzyć.

Uważałem jego słowa za poetyczny frazes, w jakie tak obfituje język Maorisów, i żartobliwie a nawet trochę lekceważąco przyjmowałem jego przyjacielskie wynurzenia. Wkrótce zapomniałem o tem wszystkim.

Ponieważ trafem znalazłem się w pobliżu sędziwego wodza, postanowiłem go odwiedzić. Przyjął mnie otoczony podległymi mu naczelnikami plemion i ludem. Stary był bardzo — nikt nie wiedział dokładnie jego wieku, choć wieść głosiła, że pamiętał czasy wylądowania kapitana Cooka. Gdyby to była prawda — miałby wiek patriarchów starożytności, — nie wierzyłem przeto tym pogłoskom, ale sądząc z białych włosów Tanawhy, z jego pomarszczonej i zwiędłej twa-



Nieznajomy uderzył go w głowę (str. 9).

rzy — na której niepodobna było już odróżnić co jest zmarszczkami a co tatuowaniem, — z jego pochylonej choć jeszcze krzepkiej postaci, z jego opowiadań o dawnych walkach i ludożerstwie — można było wierzyć, że mój przyjaciel przeżył już całe stulecie, a może nawet i więcej.

Niegdyś panowanie jego rozciągało się na całą Północną Wyspę, a gdy poraz pierwszy bladej „*Pakehasi*“ w wielkich łodziach przyplłynęli z zamorskich krajów, Tanawha był jednym z najmężniejszych i najwytrwalszych ich wrogów.

Ale zrozumiał w końcu beznadziejność tej walki, i podpisał wraz z innymi wodzami układ w Waitangi, na którego mocy Maorisowie ustąpili białym ludziom dobrowolnie to, czego biali ludzie nie zdawali jeszcze zdobyć bronią.

Często opowiadał mi Tanawha, — a duma dźwięczała w jego głosie—że „pakeha“ nie zwyciężył maorisów: że Nowa Zelandja nie została zdobyta orężem,—ale że obie rasy—biała i brunatna — znużone przewlekłą i zaciętą walką, zawarły pokój i podzieliły między siebie ziemię, ażeby mieszkać na niej w zgodzie i spokoju przez długie lata. I Tanawha miał słuszość, nic w jego postępowaniu nie przypominało zwycięzonego i podbitego. Żył spokojnie wśród swego ludu, nie przyjmując obyczaju białych ludzi, i gardząc tymi ze swojej rasy, którzy przywdziali europejskie stroje i uczęszczali do szkół, prowadzonych przez białych. Dla niego — jak mówił ciężko wzdychając—dawne obyczaje, obyczaje jego ludu, były zawsze najlepsze. Żył, żyć będzie i umrze jako Maoris — ostatni z rodu wojowników, których nawet śmierć nie zdołała zwyciężyć.

Ale kiedym go wtedy odwiedził, Tanawha miał już na sobie piętno zbliżającej się śmierci. Czuł to i patrzył na blizki koniec ze stoicyzmem, który nie odstępował go przez cały mężny żywot. Tyle już razy na polach walk spoglądał oko w oko śmierci, tak często z nią walczył, że nauczył się patrzeć z dumną poufałością na tego ostatniego, nieubłaganego wroga. Chciał iść na jego spotkanie z głową podniesioną śmiało.

Owego wieczora zasiadłem z innymi przy ogniu, i wziąłem udział w gawędzie zgromadzonych. Musiałem opowiadać o swoich podróżach z najdrobniejszymi szczegółami—Maorisom nigdy się nie śpieszy, a zajmują ich najbłahsze nawet zdarzenia.

Więc opowiadałem im o odbytych podróżach po szerokim świecie, zdala od Nowej Zelandji. Siedziałem w samym środku przy boku starego mego przyjaciela i mówiłem. Powróciłem właśnie świeżo z Chin i miałem dużo do opowiadania.

Na wzmiankę o Chinach, Tanawha nagle objawił zajęcie. Aż do owej chwili zachowywał niezakłóconą powagę, która była jego charakterystyczną cechą, ale gdym wspomniał o Chinach zwrócił się w moją stronę a w jego oczach odbiło się wielkie zaciekawienie.

— Chiny?—zapytał szybko—Ty znasz Chiny? Tybet?

Zadziwiłem się, że Tanawha wie o Chinach a jeszcze więcej, że wspomniał o Tybecie.

— Co wiesz o Chinach i o Tybecie? — zagadnąłem.

Maorisowie nie podróżują, a chociaż na pięćset lat przedtem zanim biały człowiek ujrzał wy-

brzeża Nowej Zelandji, mieszkańcy jej pływali w swych łodziach po bezmiernych przestrzeniach oceanu, odkrywali i zdobywali dla siebie wyspy mórz zwrotnikowych. Wiadomości ich o Północnej Półkuli musiały być bardzo niedokładne. Tanawha zaś nie utrzymywał stosunków z białymi, a czytać nie umiał wcale. Prawdopodobnie nie był on nigdy ani w Chinach, ani też nie widział nikogo, ktoby wspomniał nazwę Tybetu.

Widziałem, jak po mojem zapytaniu wyraz chytrości mignął na twarzy starego wodza. Lecz zniknął natychmiast ten błysk zaciekawienia, i Maori uśmiechnął się.

— O! — wyrzekł od niechcenia.—Słyszałem dużo rzeczy, i znam dużo. Jestem bardzo stary.

Nie dałem się zbyć niczem, i zapytałem go stanowczo, gdzie i co słyszał o Tybecie? Przez chwilę nie odpowiadał: potem dopiero zaczął mówić z wyraźną niechęcią, że poznał chińczyków, którzy grzebali w łożysku górskiej rzeki, szukając złota i od nich słyszał o ich kraju. Ale gdy Tanawha to mówił wiedziałem, że kłamie.

Raz jeden, dawniej jeszcze byłem z nim razem kiedy jakiś chińczyk przeszedł mimo nas, a w oczach Tanawhy błysnęła wtedy coś jakby strach lub nienawiść na widok żółtego człowieka.

A kiedym zapytał, czy nie lubi chińczyków, z wielką gwałtownością objawił swój wstręt do tych mieszkańców wschodu o gładkiem licu i spokojnem wejrzeniu.

Domyśliłem się że to rasowa nienawiść — że maoris nie może znieść obecności chińczyka. Nie! Tanawha nie byłby zdolny do gawędzenia z chińczykami, ani do utrzymywania jakichkolwiek stosunków z nimi.

Ale w jego odpowiedzi była cząstka prawdy. O kilometr od tego miejsca znajdowało się rzeczywiście obozowisko chińskich kopaczów złota. Idąc w odwiedziny do Tanawhy, minąłem ich namioty.

Owego wieczora nic więcej nie mogłem się dowiedzieć i późno już było kiedy zabierałem się odejść, mając do przebycia trzy mile drogi wśród zarośli, oddzielające mnie od hotelu, w którym mieszkałem. Wstałem i pożegnałem się. Zanim odszedłem, stary wódz odprowadził mnie na stronę i rzekł z wielką powagą.

— Niedługo umrę, mała zielona jaszczurka oczekuje na moją duszę. Wkrótce już wyruszę w podróż do przylądka Reinga, z którego dusze Maorisów skaczą, żeby się pograć w otchłań podziemnego świata. Niezadługo już mnie tu nie będzie. Ale zanim umrę, chcę żeby mój przyjaciel uczynił dla mnie to, czego ja sam uczynić nie mogę, bom już zastary. Czy mi przyrzeczesz, mój bracie?

Przyrzekłem. Starzec niewiele miał przyjaciół między swoimi. Obawiano się go, ale nie

kochano, pomimo, że władza jego nad całym plemieniem była nieograniczona.

— Czemu nie miałbyś przyjść do mnie jutro wieczorem? — zapytał przy rozstaniu, ściskając go za rękę i pocierając nosem o jego nos, według zwyczaju, przyjętego przez Maorisów.

— Stary jestem, ale przyjdę—odpowiedział. Haeara—ra!

Pożegnanie brzmiało mi jeszcze w uszach, kiedy odchodził. Czułem, że istotnie stary wódz bliskim jest śmierci.

Noc była ciemna, ale gwiazd pełna. Dróżka wiodła przez zarośla, przecinając gęsty, do dzungli podobny las Nowej Zelandji. Ponieważ od pewnego czasu panowała pogoda, błoto na drodze nie trudno było przebyć. Szedłem bez trudności, zastawiając się nad dziwnym zainteresowaniem starego wodza wzmianką o Tybecie. Słyszałem już kiedyś, że Maorisowie pochodzą z Indji czy Tybetu, więc może być, że pośród starych ich wodzów utrzymywała się jeszcze mglista tradycja o dalekiej ojczyźnie, z której ród swój wywodzi. Zauważyłem też pewne pokrewieństwo pomiędzy rzeźbami Maorisów a temi, które kiedyś widziałem w Buddyjskiej świątyni w Pekinie.

W połowie drogi minąłem obozowisko chińskich kopaczy. Światło paliło się w jednym namiocie, ale nie było widać nikogo w pobliżu. Pospieszałem, bo było już późno. Dróżka była coraz węższa, a słabe światło iskrzących się na niebie gwiazd ginęło w mrocznej głębi wąskiego szlaku wśród leśnej gęstwiny. Wysokie drzewa stały wyprostowane po obu stronach, czarne i ponure, a pośród krzaków przydrożnych nie było nic widać.

— Co za miejsce do spełnienia morderstwa!

Myśl ta mimowolnie błysnęła mi w głowie, i instynktownie włożyłem rękę do bocznej kieszeni. Ale roześmiałem się, wspominawszy, że jestem w spokojnej Nowej Zelandji, gdzie rewolwery są zbyt częste. Od wyjazdu z Hong-Kongu nie wyjmowałem mego z kuferka.

Jednakże pod wpływem tej niespodziewanej myśli nie mogłem się powstrzymać, żeby się nie obejrzeć za siebie, na zakręcie drogi.

I zobaczyłem niewyraźny zarys postaci człowieka, idącego za mną.

Zacząłem iść śpieszniej. Może być, że to jakiś Maoris z plemienia Tanawhy, idący z poleceniem od niego. Albo—Chińczyk z obozowiska. W każdym razie dzięki silnym pięściom mogłem się zmierzyć z każdym przeciwnikiem, żółtym czy brunatnym: więc na pierwszym zakręcie drogi zatrzymałem się.

Tak — ktoś szedł za mną. Kiedy przystanął, zatrzymał się i tamten. Stałem cicho w ciemni zarośli, ale ten kto szedł za moim tropem

musiał mieć słuch doskonały, bo i on się zatrzymał. Byliśmy więc obaj w środku leśnej gęstwiny, o kilometr od ludzkich mieszkań, obaj nie znani sobie, a każdy z nas czekał w milczeniu na poruszenie się drugiego. Czego tamten chciał odemnie nie mogłem pojąć: a jednak pragnąłem, żeby się ukazał. Lecz na to był zbyt ostrożny.

Wtedy, żałując, że nie mam rewolweru, wyszedłem z gęstwiny na dróżkę i puściłem się szybko z powrotem. Postać idąca za mną zawróciła natychmiast i znikła. Stałem. Nie warto było ścigać kogoś, kto tak bardzo pragnął utaić swoją osobistość.

Ale zanim zdążyłem zawrócić, uczułem nagłe uderzenie w głowę, i upadłem na ziemię na pół ogłuszony. Padając, zobaczyłem nad sobą, dwóch czy trzech ludzi. W chwilę później uczułem czyjąś rękę na ustach, a silne ramiona przytrzymały mi ręce. Byłem obezwładniony i leżałem oczekując czegoś gorszego. Lecz napastnicy zadowolili się obezwładnieniem mnie i, nie mówiąc ani słowa, a działając wyraźnie według planu z góry ułożonego, zaczęli mnie ściśle obszukiwać.

Widziałem raz, jak zręczny agent policyjny rewidował podejrzanego złodzieja, ale jego poszukiwania były niczem w porównaniu do ścisłości rewizji, jakiej dokonywali na mnie ci trzej ludzie. Nic w moich kieszeniach nie uszło ich uwagi, a gdybym co miał w butach lub w ubraniu byłiby znaleźli, i to niezawodnie. Ale, że nie miałem nic ważnego, leżałem spokojnie i nie przeszkadzałem tym amatorom-agentom w ich robocie.

Znaleźli w jednej kieszeni kilka suwerenów, wyjęli je i włożyli starannie napowrót.

Miałem srebrną cygarnicę w kieszeni na pierśsiach, gdy jeden z szukających namacał ją, posłyszałem stłumione „Ah“ pełne tryumfu. Ale w cygarnicy było tylko jedno cygaro—nie mogłem więc zrozumieć powodu tej radości.

— Chyba to palacz, któremu zabrakło cygar—pomyślałam, bo zdarzało mi się widzieć w lasach Australji, do czego posuwają się ludzie pozbawieni materiału do palenia. Ale napastnik wyjął cygarnicę, otworzył ją, obejrzał samotne cygaro i z pomrukiem niezadowolenia wyrzucił je na ziemię.

Potem po ostatnim, bezowocnym poszukiwaniu jeden z poszukiwaczy włożył mi napowrót do kieszeni cygarnicę, trzy tajemnicze postacie rozluźniły mi uścisk krępujących mnie rąk i znikły w ciemnościach.

(d. c. n.)



Nasze prawa i obowiązki.*)

LIST I.

Warszawa 19...

Kochana Zosiu!

Powiedz czy ja się nie mylę, czy istotnie skończyłaś już siedemnaście lat? Trudno mi w to uwierzyć. Więc nie wczoraj, nie niedawno, niosłam cię na rękach do waszej kaplicy w ogrodzie, gdzie moja kochana siostrzeniczka protestowała energicznie przeciw ceremoniom Sakramentalnym, na radość starej Janowej, wróżącej „że panienka się ładnie wychowa, kiedy wrzeszczy przy chrzcie świętym“.

Jakże nam starszym daleka nawet przeszłość staje wyraźnie przed oczyma. Mróz był na dworze, twoja śliczna droga mateczka drżała o swoje piskłę, a ja zaszczycona godnością chrzestnej matki ze szczerem przejęciem odpowiadałam księdzu na zwykłe obrzędowe pytania.

Tak, Zosiuniu, nie lekkomyślnie wymówiłam słowa przyrzeczeń, nie! Czułam że między tobą, nieświądomą swego istnienia, a jednak samym faktem tego istnienia, drogą już rodzicom i rodzinie, między twoją uśpioną duszyczką a moją zmęczoną życiem duszą chwila chrztu zadziernęła stosunek wyłączności i stworzyła obowiązki uświęcone prawidłami katechizmu. „W braku rodziców rodzice chrzestni czuwać powinni nad religijnem i moralnem wychowaniem dziecka“ naucza katechizm. Nie jesteś, Bogu dzięki sierotą, ale ja tak kocham moją siostrzeniczkę, że pragnę aby duchowy nasz stosunek obowiązywał mnie do czuwania nad chrzestną córką, a tobie dał prawa rodzinnego dziecka, na które powołuję się zawsze, ilekroć potrzebować będziesz oddanego ci i doświadczonego serca.

Nie boisz się mnie, prawda? Sama pisałaś, że się nie boisz i to zapewnienie dało mi chwilę radości a nawet tryumfu.

Pozostać przyjaciółką młodych, pomimo siwych włosów, jest mojem najgorętszem pragnieniem. Przez ostatnie dwa lata nie widziałyśmy się prawie. Wtedy na dworcu w czasie dziesięciominutowego postoju zdążyłam stwierdzić, że chrzestna córka i imienniczka urosła zdostojniała, że jest ładna i serdecznie wita swoją ciocię. Potem lokomotywa uniosła was w daleki świat, pa-

*) W tej rubryce, przeznaczonej dla dorastających panienek, wyjdzie w tym roku cały szereg listów, wymienianych między ciotką a siostrzenicą, o najważniejszych zadaniach panienek w pierwszych latach po ukończeniu pensyi.

mięta tylko jeszcze, jak obejrzałaś się z okna wagonu a ja wyczytałam w twoich czarnych oczach, dużo z tych uczuć i myśli, o których sądziłam, że znaleźć się muszą w piętnastoletniemu serduszk.

Czy cię dobrze odgadłam? Czy twoja dusza jest taką, jak ja ją sobie wyobrażam? Śmiałe pytanie, prawda? Stawiam je jednak w ptzekonaniu, że odpowiesz mi na nie uczciwie, a więc prosto i szczerze.

Jeżeli wymiana listów ze mną, i to listów nie banalnych, tylko z głębi duszy pisanych, wyda ci się krępującą to mi powiesz bez ogródek „kocham cię, cioteczko, nie mam jednak odwagi czy chęci dzielić się z tobą memi myślami“. Obiecuję ci nie mieć żalu za szczerść tych słów, do których sama cię upoważniłam. A może, bo i to się zdarza przecież, kochająca ciotka trafi ze swoim listem na dobrą chwilę, może jej imienniczka, czuje i myśli tak wiele, że pomimo zaufania do rodziców szuka jeszcze zrozumienia w dalszych ukochanych, i samotnej ciotce pozwoli zajrzeć w młode, tętniące życiem serce?

A jeśli tak Zosiuniu, to nie zwlekaj z odpowiedzią, daj mi swoją moralną fotografię, napisz czego się spodziewasz od życia i wzamian dać pragniesz światu. Mnie interesuje wszystko w wasi obchodzi: praca twojego ojca, zdrowie matki kochanej, postępowanie rodzeństwa, wasze stosunki towarzyskie.

Jednak najgorętszą moją troską jest twój myślowy rozkwit Zosiuniu, bo wprowadzie tylko chrzestną, niemniej jestem ci po duchu i sercu, matką.

Ciocia Zosia.

ROK 1905,

Ten rok nowy, rozpoczęty w niedzielę 1 stycznia, a którego koniec przypadnie także w niedzielę 31 grudnia, liczy dni 365, jest więc rokiem zwyczajnym.

Wielkanoc przypada niezmiernie późno, bo 23 kwietnia, a podług starego stylu w tydzień potem, t. j. 17 (30) kwietnia.

Ja osobiście zawsze wolę późną Wielkanoc, bo choć trzeci kwartał szkolny trwa długo, ale za to daleko przyjemniejszymi bywają święta wiosenne, ciepłe, a po nich zaraz egzamina i wakacje!

Wielki post rozpocznie się we środę 8 marca, Zielone świątki 11 czerwca.

Rozpatrując się dalej w kalendarzu, dowiadujemy się, że z dwóch zaćmień księżyca i słońca, jedno zaćmienie słońca będzie zupełne, a mianowicie dnia 30 sierpnia. Niestety, u nas i w całej Europie Środkowej będzie zakryta tylko część tarczy słonecznej, ale że środek zjawiska przypadnie około południa, więc będzie można je zauważyć. W Ameryce Środkowej i Afryce północnej, gdzie zaćmienie będzie całkowite, astronomowie czynią już przygotowania do obserwacji, a że pora dnia będzie na ogół dogodna, spodziewają się poczynić no-

we cenne spostrzeżenia, dotyczące się królewskiej gwiazdy, której ziemia zawdzięcza ciepło i życie.

Co do przepowiedni pogody — nie porywam się na żadne. Przeszłe dwa lata były pod tym względem bardzo niedobre. Rok 1903 przyniósł nam deszcze i ulewy, rok 1904 suszę. Porządnej zimy ani nawet ślizgawki nie było.

Oby rok 1905 był lepszy dla wszystkich!

A wam, kochani czytelnicy i czytelniczki „Wieczorów Rodziny” życzę, aby każdy dzień rozpoczętego roku przysparzał sił, zdrowia i nauki, rozwijał umysł i serce, a przytem nie skąpił radosnych i przyjemnych chwil. A choć młodym bieg czasu wydaje się długim, jednak, jak mówi poeta:

Pamiętajcie: nie ucieka
nie tak szybko, jako czas!

W. R.



Skrzynka do listów.

Dzisiejsza noworoczna skrzynka przyniosła tyle życzeń od kochanych korespondentów, że nie wiem komu najpierw za nie dziękować. Na los szczęścia sięgam ręką po papiery i chwytam miłutkie powinszowanie **Nawojki z nad Huczwy**, pisze ona „że kochanym Wieczorom” życzy powodzenia. To najmiłsza dla mnie kolenda, bo gdzież wdzięczniejsza praca jak pod strzechą dobrego pisma, które teraz w zwiększonym formacie wychodzi. I wasza Jaskółka w głównym numerze otrzymuje miejsce, a że jest gaduła, lubi świergotać do swych piskląt więc... gadu, gadu, ot już rozpuściła dzióbek, zapominając, że dziś dużo liścików czeka odpowiedzi.

Dzwonią życzeniami i śliczne konwalijki **Pojaty**; **Prządka złotych nici** donosi, że jej kochany Zdziś, Zdziś sierotka, którego ocalenie z ciężkiej choroby polecałam gorąco waszym modlitwom, wraca do zdrowia.

I kochana **Kotka z Pilawy** jest rekonwalescentką po szkarlatynie, a chociaż sama nie je żadnych przysmaczków, pamiętała o głodnych i przysłała im różne smaczne kąski, które Redakcja oddała prawdziwie potrzebującym.

Pastuszkowie **Kraski Leśnej** śliczną zaśpiewali mi kolendę, ale po bardzo długim milczeniu.

Zdaleka przypląnęłaś **Rybko z Newy** życzenia twoje bardzo miłe, pragnęłabym z tobą bliską zawrzeć znajomość.

Tę samą prośbę zanoszę i do **Tęsknoty**; oby gwiazda Betleemska na twojej karcie była zwiastunem lepszych dni. Czy za tym promyczkiem nadziei tęsknisz Tęsknoto?

Dziękuję za życzenia **Żabko** i **Muszek** z nad **Rosi**, wesołymi święta być nie mogli, bo radość rodzin

psuły wiadomości o dalekich walkach, w których tyłu blizkich nam bierze udział.

Kochana **Gospośia** to także jedna z najwerniejszych moich korespondentek. Dziękuję za życzenia tobie Gospośiu i Szanownej twej Mamie.

Bardzo miłe i twoje słowa **Kwintusie**, pragnę zasłużyć na nazwę, jaką mi dajesz „Jaskółki dobrej rady”. Czyż opiekunka może być obojętną na postęp w cnocie i nauce? Jest to prawdziwą moją radością.

Za bardzo miłe życzenia szczególnie miłych mi Marylki i Halszki **Dadziobożanek** serdecznie dziękuję.

Wierząc kochana **Sarenko Modrooka**, że jeżeli nie odebrałaś odpowiedzi, to pewno karta twoja nie doszła Jaskółki. Ten sam los spotkał może list twój do Królewianki. Radzę ci napisz i do niej raz jeszcze, znam ją, wiem, że nie pozostawiłaby bez odpowiedzi życzliwych twoich słów. Ucałuj Sarenko ręce czcigodnej Babci, a siostrzyczkę Niusię proszę niech prędko spełni obietnicę.

Zostań przy swym pseudonimie **Pierwiosnku**, to kwiatek dobrej wróżby, wszyscy go kochają. Może Jaskółka przyfrunie kiedy w twoje strony, na kamień o którym pisałaś, że siadać na nim lubisz, będziemy razem marzyć o wiosnie. A w tece twojej czy dużo leży powiastek? Redakcja powiedziała ci może słowami poety: „Zawczasie kwiatku, zawczasie.” Jaskółka zaś po cichu szepce słowo zachęty: pisz i chowaj, z czasem kto wie, co dasz ogółowi.

Pragnąc **Orle B.** aby i dzisiejsza moja odpowiedź była także interesującą, umieszczę w niej to, co czytałam nie dawno o sławnym wodospadzie Niagarze. Niagarę mróz chwycił w chwili, gdy woda po nad skałą tworzyła ogromną górę, ubrało to rzekę jakby w wielki hełm lodowy. Proszę Orle twoją siostrzyczkę, żeby jaknajprędzej napisała do Jaskółki, bo bardzo się ucieśzę jej listem.

Prawda, że bardzo dawno nie miałam od ciebie wiadomości **Modrooka Goplano**, Jaskółka tęskniła już za tobą, tymczasem przygotowywałaś niespodziankę dla biednych dzieci. Dostały ją najbiedniejsze, bo chore w szpitaliku, gdzie też wasza Jaskółka zawiozła i inne zabawki, a także śliczną lalkę z wyprawą, przyslaną przez Gospośię. Ach gdybym wam pokazać mogła te biedactwa, wychudzone gorączką, zbolełe po operacjach i operacjach. Dobre siostry ubrały dla dzieciaków choinkę, ale wybiedz do niej nie mogły z łóžeczek, więc siostry nosiły maleństwa do drzewka, i kolejno pozwalały bawić się zabawkami; dzieciaków w szpitaliku jest teraz 140, a zabawek o wiele mniej niestety więc nie na własność tylko na pobawienie się dawano im cacka do chorych rączek. Wszystkie drobne kwoty przysyłać zawsze można do redakcji markami pocztowymi.

— „Mojem obecnym i przyszłym staraniem będzie spłacić dług zaciągnięty u społeczeństwa”, pisze **Niezupełny Zwycięzca**, rad z możliwości uczenia się dalej. Szczęść ci Boże, Zwycięzco, przyniesie chlubę Jaskółczemu Kołu.

Godziłoż, się **Amundzenie**, tak długo nie dać znaku życia? Sądziłam już że zapomniałeś o nas, a tu odbieram list miły bardzo, list współczujący z niedolą bliźnich. Prosisz o jaką wiadomość ciekawą. Pamiętam, że lubiłeś szybką jazdę na samochodzie, otóż może zainteresuje cię lokomotywa parowa zbudowana przez firmę Herschel w Kassel, która przebiega 130 kilometrów na godzinę. Szybko, prawda? A co się dzieje z „Papugą” czy już przestałeś się nią zajmować.

Wszak teraz macie już sannę **Pliszko z nad Murafy**, przynajmniej w Warszawie, gdy to piszę tyle białych gwiazd spadło na ulicę, że wyglądają dziś jak

usypane puchem, ale dorożki i tramwaje popsuja prędko tą śliczną białosć. List twój i kochanej **Sikorki** bardzo mnie ucieszył, jak miło pomyśleć, że kiedyś wasza kochana Mama pisywała do „Wieczorów.“

Nowemu pokoleniu ziarna nauki siać pragną „Wieczory“, a ja, ich skrzydlaty poseł niosę nad Murafę słowa wdzięczności za wierną życzliwość dla pisma.

Przepióreczce z Podlasia dziękuję za dwie zabawki do szpitalika. Numer żądany posłała redakcja, a Jaskółka martwi się o chorą rękę Przepiórki i chętnie wyciągnęłaby swoją zdrową łapkę, żeby ucisnąć kochanego ptaszka, który musi być już bardzo rozsądny, kiedy dostaje pensję od Tatusia i z własnych pieniędzy pronomeruje „Wieczory.“

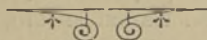
Znam język francuski i niemiecki, **Szarotko z Tatr**, ale wyrazów, o które pytasz, odczytać nie potrafię. Litery podobne są do hebrajskich lub greckich. Jeśli tylko mi się to uda, doniosę ci natychmiast znaczenie tego podpisu. Spojrzałam na okienko Szarotki i myślą znalazłam się w gmachu, w których dzięki zabiegom czcigodnego twego ojca wielu ludzi doznaje ulgi. Oby Bóg błogosławić raczył Jego i twej Cioci pracom; tyle one już chluby i pożytku przyniosły dla społeczeństwa.

A teraz wspólna odpowiedź dla was **Królewianko**, **Powiślanko** i ty **Swojskie Ptaszę**. Opis teatru zajął mnie niezmiernie, zgadyście, dobre, kochane artystki, że podobała mi się najwięcej myśl dopuszczenia wiejskich dzieci na widzów tego ciekawego przedstawienia. Słusznie piszesz Powiślanko. „Tak miło mi i lekko na sercu wspominając o radości biednych malców, których oczęta iskrzyły się zadowoleniem.“ One w istocie nie mają nigdy podnioslejszych rozrywek.

A moje oczy, trójko kochana, zwilgotniały przy czytaniu listów waszych, tyle w nich szlachetnych porównań, tyle zrozumienia obowiązków społecznych, które na nas wszystkich ciąży.

Za wzruszenie doznane dzięki Wam, dziękuje
Jaskółka.

P. S. Oto co jeszcze znalazłam na dnie skrzynki: Dzieci zamożnych rodziców dostały na gwiazdkę nowe książki; może więc staremi, przeczytanymi obdarzą biedne dziewczynki z zakładu Ś-tej Marty (Nowy Świat 49). Są to dziewczynki 10 i 12-letnie, które trochę umieją czytać, a książeczki dopomogą im lepiej się nauczyć. Mogą być zniszczone, nawet trochę podarte, aby tylko czytać na nich można.



Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 15 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Hejnał noworoczny (ryc. i wiersz), przez Ignacego Balińskiego. — Krew ziemi, przez E. Jankowskiego. — Przygody Imć Pana Mikołaja, przez Zofię Morawską. — Kolenda ubogich (z ryc. J. Piwarskiego). — Talizman władzy, przez Wawrzyńca Zeal'a (przekład M. G.) — Nowe prawa i obowiązki (list I), przez Ciocię Zosię. — Rok 1905, przez W. R. — Skrzynka do listów, przez Jaskółkę. — Odpowiedzi Redakcyi. — Nowe książki. — **Dodatek:** Nowy Rok, wiersz przez Zofję Zacharkiewiczównę. — Ah-ni gbito (z ryc.) z ang. przez M. G. — Co zbudujemy? (z ryc.), przez Adama Lacha. — Jak mamę kocham, przez Irenę Mrozowicką. — Żarciki. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczynie **Marya z Chomętowskich Balińska**.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

W czwartym kwartale roku ubiegłego jedno z premii miesięcznych „Wieczorów Rodzinnych“ stanowiła *Skarbnica nowych łamigłówek*; każdy prenumeratorem nadsyłający trafne rozwiązania tych łamigłówek jako nagrodę miał otrzymać bezpłatnie nasze pismo w ciągu pierwszego kwartału 1905-go roku.

W oznaczonym terminie, t. j. do dnia 1-go stycznia trafne rozwiązania wszystkich łamigłówek w tem premium zawartych nikt nie nadesłał. Największą ilość łamigłówek rozwiązała poprawnie **Zosia Szyszkówna** z Petersburga; wobec tego, że inne rozwiązania były w znacznej części mylne, naznaczoną nagrodę Redakcyja „Wieczorów Rodzinnych“ przyznała tej czytelniczce.

Marychle Temlerównie.—Łamigłówki nie były trudne, przekonasz się o tem sama, gdyż w roku bieżącym powtórzymy te zadania, a następnie podamy rozwiązania.

Rozwiązania łamigłówek z ostatnich numerów roku zeszłego nadesłali: Niezabudka, Kazio M., Filolog, Jadzia Koniecka i Stasio Czarnecki (spóźnione rozwiązania łamigłówek do nagrody) Syguna i Jadw. T.

NOWE KSIĄŻKI.

Album widoków krajowych. Pod tytułem „Miłośnikom Pamiątek“ wydał artysta-malarz Jan Olszewski — zbiór widoków rozmaitych pamiątkowych gmachów, budynków i ruin naszego kraju z portretami zasłużonych mężów, których życie lub działalność mają związek z daną miejscowością.

Rysunki są bardzo ładne opatrzone krótkim tekstem objaśniającym, a całość jest artystycznym i nader cennym przyczynkiem do zaznajomienia się z osobliwościami naszego kraju.

JASEŁKA

W sali zajęć dla chłopców św. Antoniego (ul. Kaliksta Nr. 17), począwszy od 27 grud. w godzinach między 5 — 7 codziennie z wyjątkiem Piątków i Sobót — odbywają się przedstawienia „Jasełek“.

Do numeru dzisiejszego dołączamy dodatek powieściowy za m. Styczeń (Nr. Nr. 1—4),